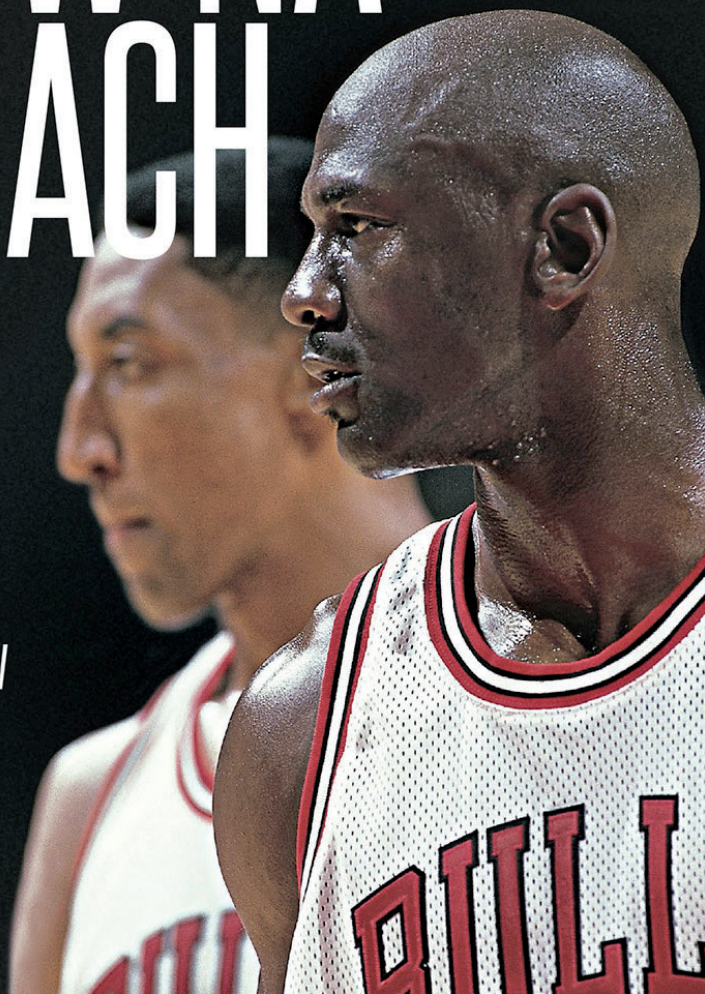


ROLAND LAZENBY
CHICAGO BULLS
**KREW NA
ROGACH**

POZNAJ
OSTATNI TANIEC
DYNASTII BYKÓW

SON
10 LAT RAZEM
SINE QUA NOW





CHICAGO BULLS
**KREW NA
ROGACH**



**ROLAND LAZENBY
CHICAGO BULLS
KREW NA
ROGACH**

TŁUMACZENIE:

PIOTR KRÓLAK, MICHAŁ RUTKOWSKI, TYMON RUTKOWSKI

KRAKÓW 2020

Blood on the Horns. The Long Strange Ride of Michael Jordan's Chicago Bulls

Copyright © by Roland Lazenby 1998, 2020
By arrangement with the author. All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2020
Copyright © for the translation (1-6) by Michał Rutkowski & Tymon Rutkowski 2020
Copyright © for the translation (7-12, epilogue & afterword) by Piotr Królak 2020

Redakcja – Grzegorz Krzymianowski
Korekta – Maciej Cierniewski, Agnieszka Zygmont
Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc
Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl
Rysunki na stronach tytułowych – Agnieszka Jednaka
Zdjęcie na I stronie okładki – John Bieber /Sports Illustrated / Getty Images
Zdjęcie na IV stronie okładki – Steve Lipofsky / www.Lipofskyphoto.com

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,
niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików. Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza. Dziękujemy!
Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2020
ISBN: 9788382100419



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

PRODUKCJA: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa
DESIGN I GRAFIKA: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka
PROMOCJA: Piotr Stokłosa, Aldona Liszka, Szymon Gagattek, Tomasz Czernich, Lucyna Byrdy
SPRZEDAŻ: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak
E-COMMERCE: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś
ADMINISTRACJA I FINANSE: Klaudia Sater, Monika Płuska, Honorata Nicpoń, Ewa Koza
ZARZĄD: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnier, Michał Rędział

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl
www.labotiga.pl

„Chciałem, żeby nasz Byk był prawdziwym bykiem, walczącym niczym byk na arenie. No wiesz, takim wielkim, czarnym zwierzem z długimi rogami i złośliwymi czerwonymi ślepiami. Pragnąłem Byka, który wygląda wrednie. Na początku w większości propozycji pojawiała się cała sylwetka Byka. Byki z opuszczonym łbem i takie tam. Mówiłem: „Chcę zobaczyć pysk. Dajcie mi zbliżenie na pysk”. Aż w końcu pokazali mi pysk, który wyglądał naprawdę nieźle. Wtedy powiedziałem: „Musimy jeszcze tylko zrobić mu czerwone oczy. Chcę, żeby jego nos ociekał krwią, żeby miał przekrwione nozdrza i krew na rogach”. I to właśnie zrobili. To był kawał dobrej roboty. Tak powstał nasz symbol”.

Opowieść Dicka Kleina, założyciela Chicago Bulls,
o tym, jak w 1966 roku pracował wraz z projektantami
nad logotypem klubu

Słowo od wydawcy

Pierwsze wydanie niniejszej książki ukazało się ponad dwadzieścia lat temu. Stanowi wierny zapis epoki, w której powstała, szczerą relację z pierwszej ręki, dokładny zapis tego, co Bullsi myśleli i robili w latach dziewięćdziesiątych.

Udało nam się wraz z autorem oprzeć pokusie, by przepisywać lub zmieniać oryginał, wygładzać lub polerować go z dzisiejszej perspektywy, gdy wszyscy jesteśmy starsi i mądrzejsi. Dodaliśmy za to nowy materiał, próbując mniej więcej dopowiedzieć historię bohaterów do dzisiaj i zawrzeć najnowsze wydarzenia, jak również dać niektórym nieżyjącym już osobom szansę na odpowiedź na serial *Ostatni taniec*.

Zainteresowanych Czytelników odsyłamy do posłowania na końcu tej książki.

Przedmowa

POKÓJ Z WIDOKIEM

Dedykuję tę książkę mojemu ojcu, Williamowi Lowry'emu „Skoczkiowi” Lazenby'emu, chłopakowi z Wirginii Zachodniej, obdarzonemu umiejętnością oddawania płynnego rzutu oburącz. Był mistrzem zwodów, nie tylko tak zwanych pompek i balansu. Robił zmyłki wszystkimi częściami ciała – twarzą, oczami, łukowatymi brwiami, czymkolwiek, co mogło pójść w jedną stronę, podczas gdy on szedł w drugą. Zdobył przydomek „Skoczek” właśnie dzięki koszykówce – ale nie dlatego, że grał w nią tak dobrze, choć radził sobie przecież całkiem niezle – ale dlatego, że jego starszy brat, Clyde, był naprawdę świetny. Clyde reprezentował stan Wirginia Zachodnia i jeszcze w latach 20. dostał jedno z pierwszych stypendiów koszykarskich na Virginia Tech. Ale jak wieść niesie, Clyde się zakochał i po jakimś roku rzucił uczelnię. Ożenił się, ale został po nim pseudonim „Skoczek”. Chyba na dobre, bo kiedy tylko w koszykarskiej drużynie w Beaver High w Bluefield

w Wirginii Zachodniej pojawiał się jakiś Lazenby, to też dostawał ksywkę „Skoczek”. W sumie było trzech „Skoczków” Lazenbych, co w latach, kiedy jeszcze grali, bywało mylące.

W przeciwieństwie do mnie mój starszy brat Hampton też był całkiem niezłym koszykarzem. Ale brak umiejętności nie przeszkodził mi w grze z pasją w kosza przez całe życie. Mam teraz 45 lat, bołą mnie kolana i pięty, a mimo to wciąż jeszcze gram trzy czy cztery razy w tygodniu. Często się zastanawiam, po co się tak od tylu lat zadrezczam. Zazwyczaj odpowiadam sobie na to pytanie następująco: skoro już o koszykówce piszę, to powinienem przynajmniej regularnie w nią grywać. Ale w głębi duszy wiem, że mam poważniejsze powody: koszykówka sprawia, że mogę być bliżej ojca, który zmarł w 1981 roku.

Kiedy więc Phil Jackson mówi o duchowej stronie gry w koszykówkę, dobrze wiem, co ma na myśli.

Wspominam o tym, żebyście zrozumieli mój związek emocjonalny z Bykami. Na całym świecie są miliony kibiców, którzy z jakiejś przyczyny zbudowali więź ze swoją drużyną. Ja mam taki oto powód: Chicago Bulls to wyjątkowa drużyna, zbudowana z wyjątkowych strażników koszykówki, z Michałem Jordanem na czele. A szefem wszystkich strażników jest 76-letni asystent trenera Tex Winter, który całe swoje życie zawodowe spędził na rozwijaniu czegoś, co nazywa „ofensywą trójkątów”. To model gry, który Winter poznał, kiedy grał u trenera Sama Barry’ego na Uniwersytecie Południowej Kalifornii. Ofensywa trójkątów okazała się dla wszystkich koszykarzy NBA, którzy próbowali opanować ten sposób gry, niezwykle frustrująca i skomplikowana. Ale kiedy już poznali jej tajniki, to rzeczy, które początkowo wydawały się trudne, sprawiły, że grało im się niesamowicie łatwo. To ofensywa w starym

stylu, zbudowana na koncepcji ciągłego przekazywania sobie piłki – lepsi zawodnicy musieli dzielić się piłką z gorszymi. W skrócie oznaczało to tyle, że ludzie tacy jak Michael Jordan musieli nauczyć się ufać komuś takiemu jak Dickey Simpkins. To istota gry zespołowej. Trójkąty, przynajmniej takie, jakich uczył zawodników Tex Winter, wymagają też od wszystkich nauki schematów defensywnych i umiejętności ścinania do środka, by na parkiecie pojawiały się wolne przestrzenie. Efektem jest ciągły ruch graczy, a kiedy Bulls rozgrywali trójkąty, to ów ruch okazywał się oszałamiający.

Wyraźnie kontrastowało to ze stylem większości pozostałych 28 drużyn w NBA, które zgodnie z panującą modą rozgrywały te swoje straszliwe izolacje, kiedy to jeden zawodnik przepychał się pod koszem, podczas gdy czwórka jego kolegów z drużyny stała na obwodzie, czekając, aż kryjący obrońca ruszy do podwojenia, w efekcie czego ktoś mógł w końcu oddać piłkę.

Mój przyjaciel Billy Packer, dziennikarz CBS, był w 1998 roku na meczu play-offów, w którym rywalizowały Charlotte Hornets i Atlanta Hawks. Był tak zniesmaczony i znudzony, że w trzeciej kwarcie nie wytrzymał, wstał i wyszedł z hali.

Powróćmy do Texa Wintera i jego roli strażnika. Tex wie, że przeszłość koszykówki jest jednocześnie jej przyszłością. Wygląda na to, że niewiele osób w NBA potrafiło przerwać liczenie pieniędzy na wystarczająco długo, żeby w ogóle zacząć o tym myśleć. Phoenix Suns próbowali zaadaptować ofensywę trójkątów w październiku i listopadzie 1996 roku. Przegrali 12 pierwszych meczów sezonu i się poddali. „Nie jestem pewien, czy w ogóle graliśmy trójkątami – żartował rezerwowy center Bulls, Joe Kleine, który grał w tamtej ekipie Suns. – Może to był kwadrat”.

Do śmiechu nie było dawnemu asystentowi trenera w Bulls, Jimowi Cleamonsowi, który został trenerem Dallas Mavericks i próbował wdrożyć tam atak trójkątów, ale spotkał się ze sprzeciwem zawodników. Nauka gry we właściwy sposób tym systemem wymaga czasu, którego współcześni młodzi milionerzy chyba nie posiadają.

Jest też wiele dowodów na to, że w 1990 i 1991 roku Bulls mieli sporo problemów z adaptacją do tego schematu rozgrywania akcji w ofensywie. Ale Winter lubi podkreślać, że niezłomny upór Jacksona we wprowadzeniu trójkątów wyznaczał początki jego wielkości w roli trenera. Były to też początki świetności Byków.

W początkowych latach historii koszykówki starzy zawodowcy mieli pewne określenie na grę polegającą na podaniach na obwód spod kosza; mówili, że „piłka zaczyna wtedy śpiewać”.

We wcześniejszej dekadzie same Byki oczywiście też stosowały mnóstwo tego typu zagrań. I dzięki geniuszowi Jordana w ataku i reprezentującemu starą szkołę podejściu Wintera uwielbiały ich miliony kibiców. Co więcej, Bulls totalnie miażdżyli swoich rywali. Z przyjemnością patrzyło się na to, jak rozbijali kolejne drużyny rozgrywające w ataku te swoje leniwe izolacje. Nie mogłem pojąć, dlaczego do tych zespołów wciąż nie dociera, że wielkość Byków bierze się z poświęcenia Michała Jordana i Scottiego Pippena, żeby grać w koszykówkę tak, jak powinno się grać.

Wiosną 1998 roku Winter został raz jeszcze nominowany do Koszykarskiej Galerii Sławy imienia Jamesa Naismitha, po tym, jak w poprzednich latach kilkakrotnie go pomijano. Gdyby i tym razem nie został do niej wybrany, to może w Galerii

powinna znaleźć się jakaś dobra dusza, która zamknęłaby budynek na klucz, po czym go wyrzuciła.

I tu dochodzimy do powodów, dla których napisałem tę książkę. W drodze po swój szósty tytuł mistrzów NBA Bulls rozpoczęli walkę o władzę i znaleźli się na krawędzi rozpadu. To była fatalna sytuacja, bo groziła zakończeniem kariery przez dwóch najwspanialszych strażników gry w koszykówkę, Jordana i Wintera, a co za tym idzie – była niebezpieczna dla całej koszykówki.

Chciałem wiedzieć, dlaczego do tego doszło.

I ta książka próbuje odpowiedzieć na to pytanie.

W czasach kiedy Chuck Daly musiał zmagać się z Detroit Pistons i ich koszmarnymi ego, zwykł mawiać: „Koszykówka jest prosta, to ludzie są skomplikowani”. Tak przy okazji: Pistons zdobyli dwa tytuły mistrzowskie, ale po drodze doprowadzili do totalnego wypalenia relacji w drużynie. To, że wielcy ludzie, którzy zbudowali Bulls, potrafili sięgnąć po sześć tytułów mistrzowskich i utrzymać najwyższy poziom gry pomimo tak ogromnego ciężaru, jest świadectwem ich wielkości.

Krótko mówiąc: co popychało Byki niemalże do rozbicia drużyny?

Nie ma na to jednej prostej odpowiedzi, ale gdybym musiał takiej udzielić, to powiedziałbym: niepewność generalnego menedżera Jerry’ego Krause’a.

Ale z drugiej strony – gdybym miał odpowiedzieć na pytanie, co sprawiło, że udało się uczynić z Bulls sześciokrotnych mistrzów NBA, to zaraz za słowami „Michael Jordan i Scottie Pippen” znalazłoby się sformułowanie „niepewność Jerry’ego Krause’a”.

Tak naprawdę to wszyscy są po trosze odpowiedzialni za rozpad Bulls. Jerry Krause. Phil Jackson. Scottie Pippen. Michael Jordan. Jerry Reinsdorf. Tex Winter. Podobnie jak to dzięki nim drużyna przeżyła wszystkie te słodkie, niesłychane chwile triumfu.

Taka opinia nie spodoba się Michaelowi Jordanowi i Scottiemu Pippenowi, którzy nienawidzą Krause'a. I jest mi naprawdę przykro, że mówię coś, co może nie spodobać się Jordanowi albo Pippenowi, bo obaj stanowią wielkie serce wspaniałej drużyny koszykarskiej. Ale taka jest prawda.

Dlaczego nienawidzili Krause'a?

Pippen dlatego, że generalny menedżer próbował sprzedać go do innego klubu, co gwiazdor uważał za przejaw totalnego braku szacunku.

Jordan też nienawidził Krause'a za to, że ten próbował sprzedać Pippena, i za to, że nie dogadywał się z Jacksonem. Te dwie rzeczy utrudniały drużynie rywalizację, a Jordan nie akceptował niczego, co mogło przeszkodzić w osiągnięciu sukcesu.

Dlatego też kiedy w 1998 roku sezon dobiegł końca, kibice Bulls musieli zmierzyć się z perspektywą rozpadu drużyny. Był to efekt walki o kontrolę nad drużyną pomiędzy Krause'em a dwiema supergwiazdami drużyny – z Jacksonem, Winterem i Reinsdorfem tkwiącymi pośrodku, próbującymi jakoś to wszystko poukładać i iść do przodu. Czy czegoś w tym rodzaju.

A to sprawia, że mogę powrócić do rzutu mojego ojca. Pod koniec lat 30. i w latach 40. grywał w półprofesjonalnych ligach w południowej części Wirginii Zachodniej. Ponieważ urodziłem się dość późno, nie miałem nigdy okazji zobaczyć go w akcji. Ale słyszałem opowieści o tym, jak składał się do tego rzutu, czasem nawet w sytuacji, kiedy jego kolega z drużyny

czekał niekryty pod koszem. Słyszałem, że mój ojciec grał kiedyś przeciwko Original Celtics*, objazdowej drużynie zawodowej z tamtych czasów, i że był przeszczęśliwy, kiedy gwiazdor Celtics Davey Banks usiadł na trybunach. Oddał rzut z połowy boiska i trafił za pierwszym razem. Nie mam pojęcia, czy te historie są prawdziwe, ale wierzę, że tak, bo zdarzało mi się rzucać z ojcem. W 1946 roku, zanim się urodziłem, bardzo się poparzył i mógł już grać tylko w h-o-r-s-e** i jeden na jednego. Na podjeździe mieliśmy betonowe boisko, ale tata wolał oddawać rzuty spod wielkiego wiązu, który rósł na podwórku, w odległości blisko trzydziestu metrów od kosza. Robił zwód, po czym wyskakiwał w powietrze, otwierał szeroko oczy i oddawał ten swój charakterystyczny rzut oburącz, a kiedy piłka wpadała do kosza, wydawał z siebie okrzyk radości – była to chyba jego wersja trash-talkingu.

To on nauczył mnie, że życie, podobnie jak dobra rozgrywka w h-o-r-s-e, wymaga odpowiednio dużej przestrzeni. Któregoś dnia rozmawiałem o walce o wpływy w Bulls z Philem Jacksonem – powiedział wtedy coś, co przypomniało mi o moim ojcu. Jackson mówił o tym, jak Krause próbował zawsze kontrolować Pippena i Jordana. „Chodzi o kontrolę – tłumaczył. – Wszyscy chcą mieć kontrolę. Dla mnie poczucie kontroli jest oczywiście ważne, ale równie ważne jest dawanie wystarczającej przestrzeni. Jeśli przestrzeń jest większa, to ludzie nie będą się bez przerwy obijać o ściany”.

* Popularna w latach 20. profesjonalna nowojorska drużyna koszykarska, niemająca nic wspólnego z Boston Celtics (przypisy pochodzą od tłumaczy).

** Gra, w której rzuca się do kosza z różnych pozycji.

A wygląda na to, że z im większymi osobowościami mamy do czynienia, tym większą powinno dawać się im przestrzeń.

Wtedy przyszedł mi do głowy naiwny pomysł: a gdyby tak zebrać wszystkie uwikłane w to osoby w pokoju, żeby sobie to przedyskutowały? Wszyscy oni robili przecież rzeczy, które mogły rozzłościć albo zranić innych. Każdy przecierpiał swoje. Dlaczego nie spróbować o tym pogadać? Któregoś dnia zapytałem więc o to Jordana.

Spojrzał tylko na mnie pytająco.

– Bez bijatyki? – zapytał. – Nie ma mowy.

– Może w izolatce? – zaproponowałem. – Dlaczego niby nie może to być takie proste? Po prostu pogadajcie.

– Może i udałoby ci się zamknąć naszą piątkę razem w pokoju – odpowiedział Michael – może nawet wykrzyczelibyśmy te swoje bóle i pretensje, ale przecież to wszystko jest już za nami. Musieliśmy to zrobić, żeby odnieść sukces. I wiesz co? – dodał. – Jeśli chodzi o mnie, to ja już sobie z bólem poradziłem. I potrafiłem wykonywać swoją robotę uczciwie, z determinacją i zaangażowaniem.

Sugerował, że Krause nie potrafił dać sobie rady ze swoim bólem i pozwalał, żeby jego osobiste urazy stawały na przeszkodzie w drodze do zwycięstwa. A dla Jordana był to najgorszy grzech.

– Musisz odłożyć na bok cały swój ból i wszystkie cierpienia. Musisz się skupiać na tym, co masz do zrobienia – mówił Jordan. – Jeśli będziesz siedział i rozpamiętywał żale, to tak będzie wyglądała cała twoja kariera... Gdybym tego nie olał, to nie byłbym w stanie grać na sto procent albo skupiałbym się na zemście. Ale ja szedłem do przodu i skupiałem się na zwycięstwie.

Było jasne, że nie ma takiej przestrzeni, w której panowie mogli usiąść i przegadać wzajemne pretensje.

Niech zatem ta książka będzie próbą stworzenia gorszej wersji takiego pokoju zwierzeń. Próbą wyłożenia wszystkich kart na stół. W pokoju z widokiem.

Dla Byków.

Dla ich kibiców.

Dla mojego staruszka.

Roland Lazenby

15 czerwca 1998



1. DNI WALKI O WŁADZĘ I WIECZORY PEŁNE BLASKU



„NAJPIERW MUSISZ ZADAĆ SOBIE PYTANIE, KOMU UFASZ”
Adwokat diabła

Niezależnie od tego, gdzie grał, dla Michaela Jordana skrzyła się każda hala. Podczas ceremonii prezentacji zawodników przed każdym meczem witały go flesze tysięcy aparatów. Najefektowniej wyglądało to oczywiście w United Center w Chicago, gdzie podczas prezentacji narastała wrzawa i robiło się coraz jaśniej, aż w końcu nazwisko Jordana wywoływano jako piątego zawodnika pierwszej piątki. Hala zamieniała się wtedy w pulsujący stroboskop. Potem, kiedy mecz się rozpoczynał, te same światła znowu zaczynały migotać. Ale do największego szaleństwa dochodziło przy rzutach wolnych, kiedy na linii stawał Jordan, a całe rzędy kibiców za koszem zamieniały się w oszalałający błysk, który nasuwał na myśl kulę dyskotekową na balu maturalnym albo rój świetlików w letni wieczór.

Kibicom regularnie przypominano, że nie wolno robić zdjęć z fleszem i że flesze są w ogóle niepotrzebne w nowoczesnych, dobrze oświetlonych halach NBA. Ale to ich nie powstrzymywało, a ochroniarze wyglądali na pogodzonych, że nie da się nic na te emocje poradzić.

Zapytany, jak w ogóle może w takich warunkach rzucać wolne, Jordan odparł z dobrodusznym uśmiechem: „Już dawno się do tego przyzwyczaiłem”.

Jordan doskonale rozumiał swoją popularność i potrzeby kibiców. Było to szczególnie widoczne podczas sezonu 1997/98, kiedy wszystko wskazywało, że to jego ostatni sezon. Rozumiał, że prawie każdy chce zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie z jednego z jego ostatnich meczów, nawet jeśli miałby to być niewyraźny zaczerwieniony wydruk z fotografii zrobionej z ostatnich rzędów, na którym Jordan i jego koledzy z drużyny wyglądali jak majaczące nieostre zjawy. Ale dla kibiców takie wydruki były dowodem, że tam byli, że na żywo mogli doświadczyć jego wielkości. Takie zdjęcia wkładało się do skrzynki z pamiątkami rodzinnymi. A wnukom będzie można kiedyś opowiadać o tym, że „Michael był lepszy od Babe’a Rutha”.

Babe Ruth? Jeśli Jordana można do kogoś porównać, to chyba tylko do innego wielkiego koszykarskiego wojownika, centra Billa Russella, który od 1957 do 1969 roku poprowadził Boston Celtics do 11 tytułów mistrzowskich w ciągu 13 sezonów. Przeznaczeniem Russella było zdominować ligę pod koniec obrzydliwych czasów segregacji rasowej. Spotykał się nie tylko z uwielbieniem kibiców, ale również z nienawiścią. Jak daleko to mogło zajść? Któregoś razu ktoś włamał się do domu Russella i narobił mu do łóżka. To chyba całkiem dobry powód, żeby czuć wściekłość.

Ale Jordan nie miał tego typu doświadczeń. Każdego wieczora dziesiątki tysięcy kibiców oddawało mu hołd. Setki, a czasami tysiące ludzi zbierało się na ulicach. Pod halami. Pod hotelami. W nadziei, że uda im się zobaczyć Jordana choćby na ułamek sekundy, kiedy wysiada wraz z kolegami z autokaru. Niezliczeni fani oddawali mu hołd, zapelniając kolejne magazyny liścikami, pocztówkami, kwiatami, przeróżnymi prezentami i życzeniami.

Ale to flesze aparatów fotograficznych były najlepszym miernikiem popularności. Za każdym razem, kiedy Michael zaliczał jakąś widowiskową akcję, jego świat zaczynał migotać na firmamencie chwały.

Był zimny marcowy wieczór, Bulls wrócili z deszczowego Teksasu, gdzie zegrali dwa spotkania wyjazdowe, do pokrytego śniegiem Chicago, by w hali United Center zmierzyć się z New Jersey Nets. Każde starcie stanowiło element końcowego odliczania – do końca sezonu zasadniczego pozostało zaledwie 17 meczów. Na pierwszy rzut oka nie dało się zauważyć niepokoju, który po cichu narastał wokół drużyny. Ale najważniejsi aktorzy wyczuwali nieuchronnie zbliżającą się ostateczną decyzję co do przyszłości Jordana i całej drużyny. Ten finał był efektem całego sezonu. Była to gra w cykora, obie strony wpatrywały się w siebie, wyczekując, kto pierwszy mrugnie.

„Chodzi o władzę” – na kilka godzin przed meczem tłumaczył ochryłym głosem trener Bulls Phil Jackson w wywiadzie udzielonym w swoim gabinecie w Berto Center, przyjemnym ośrodku treningowym Byków w Deerfield na przedmieściach Chicago. Kiedy Jackson zaczął w 1989 roku trenować Bulls, miał ciemne włosy i młodą, świeżą twarz. Ale czas mu nie sprzyjał, podobnie jak ten sezon. Patrzył zmęczonymi, podkreślonymi oczami, które przypominały słowa piosenki Townesa Van Zandta:

Życie w drodze, mój przyjacielu, miało sprawić, że będziesz zawsze wolny i czysty, teraz twoja skóra jest twarda jak stal, a twój oddech cuchnie naftą...

No cóż, władza. Bulls znaleźli się w środku morderczej, wyniszczającej batalii o przejęcie kontroli nad drużyną, podczas której Jackson, Jordan i Scottie Pippen stanęli naprzeciw Jerry'ego Krause'a, wiceprezesa klubu odpowiedzialnego za operacje koszykarskie i generalnego menedżera, który już przed rozpoczęciem sezonu ogłosił, że jesienią 1998 roku Jackson nie wróci do klubu jako pierwszy trener.

„To by było na tyle – powiedział wtedy Krause. – I ja, i Phil o tym wiemy. Wszyscy o tym wiemy”.

Ogłaszając swoją decyzję, Krause nie powiedział, co dokładnie doprowadziło do wyznaczenia terminu odejścia Jacksona, ale relacja pomiędzy trenerem a generalnym menedżerem ewidentnie się wypaliła, co zresztą nie było niczym niezwykłym w świecie zawodowej koszykówki – biznesie łączącym się z ciągłym zainteresowaniem mediów, ogromnymi pensjami i jeszcze większymi ego.

Oświadczenie Krause'a z kolei wywołało do odpowiedzi Jordana, który zaraz po tym, jak w październiku rozpoczął się obóz treningowy, powiedział, że zakończy karierę, o ile nie uda się zatrzymać Jacksona. „Jeśli nie będzie tu Phila, to z pewnością nie będzie też mnie” – powiedział dziennikarzom Jordan.

Tym samym niski i grubawy Krause postawił się w niezręcznej sytuacji – to on miał spowodować, że Jordan odejdzie ze świata koszykówki. Na to się w każdym razie zanosilo. Tak naprawdę mieliśmy tu do czynienia z plątaniną wypalonych relacji. W tamtym momencie przyszłość drużyny zależała również od batalii o karierę Pippena, drugiej gwiazdy drużyny, który stanowił idealne uzupełnienie dla Jordana podczas walki o pięć poprzednich tytułów.

W 1991 roku Pippen popełnił fatalny błąd i podpisał z drużyną wieloletni kontrakt, mimo że nawet klubowi działacze ostrzegali go, żeby tego nie robił. I w związku z tym skrzydłowy Bulls musiał pracować przez większość dekady za marne trzy miliony dolarów rocznie. Większość Amerykanów posikałoby się ze szczęścia, mając takie możliwości, ale NBA stała się akurat wtedy baśniową krainą z morzem gotówki i Pippen musiał przypatrywać się młodszemu i znacznie mniej utalentowanym koszykarzom, którzy podpisywali umowy warte 10, 15, a nawet 20 milionów dolarów za sezon.

Problem Bulls polegał na tym, że pod koniec play-offów w 1998 roku umowa Pippena się kończyła, a cena za jego usługi wynosiła około 45 milionów dolarów za trzy lata gry. Absurd pensji w NBA polegał na tym, że choć nie były to złe warunki, to Bulls płacili już Jordanowi około 33 milionów za sezon.

A tam, gdzie są pieniądze, sława i ogromne zainteresowanie opinii publicznej, dochodzi też do skomplikowanych konfliktów charakterów. Tak też było w Bulls. Wraz ze zbliżaniem się wiosny odzwierciedleniem tych konfliktów stała się mała wojna PR-owa pomiędzy najważniejszymi aktorami przedstawienia, która sprawiła, że kibice, dziennikarze i same Byki zaplątały się w gmatwaninę złudzeń.

Ale choć sytuacja była mało komfortowa i ciążyła zawodnikom, to drużynie udało się przetrwać pełen kontuzji sezon i pomimo wielu niepowodzeń na początku rozgrywek przed rozegranie tego marcowego pojedynku z Nets mieli najlepszy bilans w Konferencji Wschodniej: 47-17.

Co nie zmieniało faktu, że miło nie było. Przed rozpoczęciem sezonu Krause przyrównał sytuację drużyny do rozwodu

i rzeczywiście czuło się, że w zespole panuje koszmarna atmosfera, pełna zakłopotania i braku zaufania.

Jackson od kilku lat powtarzał w prywatnych rozmowach, że Krause zarządza drużyną w sposób obcesowy i że woda sodowa uderzyła mu do głowy. „Jerry chce być najpotężniejszą osobą w całym klubie i ciężko mu jest pozwolić Michaelowi być Michaeliem – mówił Jackson. – Michael nie musi mieć władzy. Chce być jednym z zawodników. Ale nie potrzebuje kogoś, kto będzie nim dyrygował, rozkazywał mu albo wręcz nim pomiatał. O to tu chodzi”.

W oczach opinii publicznej Jerry Reinsdorf, właściciel klubu, sprzyjał Krause’owi, który był jego lojalnym sługą. Kibice Bulls nazywali ich „dwójką Jerrych”, mroczną koalicją, której jakimś cudem udało się do tej pory zarządzać klubem w epoce Jordana. Nasza historia stawała się coraz bardziej zawiła, otaczała ją też coraz bardziej tajemnicza aura, bo przecież zgoda na rozbitcie tak wspaniałej drużyny wydawała się ogromnym błędem biznesowym, gigantycznym przelicytowaniem. A Reinsdorf, który zaczynał jako reprezentant niższej klasy średniej na Brooklynie i dorobił się ogromnego majątku na nieruchomościach i biznesie sportowym, rzadko popełniał duże błędy.

„Już tysiąc razy przez to przechodziliśmy, ale nikt tak naprawdę nie wie, jaki jest plan – mówił Steve Kerr, obrońca Bulls, przyznając, że posunięcia zarządu sprawiają, że zarówno on, jak i jego koledzy z drużyny są skołowani. – W Chicago, wszędzie, gdzie chodzimy, ludzie zadają nam pytania: »Jak to możliwe, że w ogóle bierze się pod uwagę rozpad tej drużyny?«. I mówią szczerze, nie mamy pojęcia, co im odpowiedzieć”.

Kerr przypuszczał, że Reinsdorf, który podczas sezonu nie spędzał zbyt dużo czasu z drużyną, słyszy identyczne pytania

od mniejszościowych właścicieli Bulls, którzy sami muszą na nie odpowiadać najbliższym i przyjaciołom na bankietach czy spotkaniach rodzinnych.

„Dlaczego – zapytał miesiąc wcześniej Jordan – planujesz zmienić trenera, który zdobył pięć tytułów mistrzowskich, który jest szanowany przez zawodników, który świetnie się z nimi rozumie i potrafi ich zmotywować do tego, żeby codziennie dawali z siebie wszystko? Dlaczego?”

Myślę, że musi tu chodzić przede wszystkim o konflikt osobowości. Bo przecież nie o to, w jaki sposób Jackson wykonuje swoją pracę, ani o to, co zrobił z zawodnikami, jaki szacunek sobie wśród nich zdobył. Jego sukcesów trenerskich nie da się przecież podważyć. Nie można ich zakwestionować. Dlatego uważam, że chodzi o coś osobistego”.

Prawdę mówiąc, zdaniem Reinsdorfa problem polegał na tym, że Jackson i Jordan próbowali odebrać Krause’owi kontrolę. Dzwoniąc ze swojej zimowej rezydencji w Arizonie, Reinsdorf zasugerował, że „to Phil nie chce tu zostać”, i dodał, że Jackson odrzucił propozycję pięcioletniego przedłużenia kontraktu.

Zasugerował, że to Jackson i Jordan manipulują faktami, żeby wszystko wyglądało tak, jakby to Krause próbował rozbić drużynę, która odnosiła największe sukcesy w historii koszykówki. Dodał, że „opinia publiczna całkowicie błędnie odczytuje to, co próbuje osiągnąć Jerry Krause, tak jakby jego jedynym celem był demontaż drużyny. A Jerry Krause wcale tego nie chce”.

Reinsdorf mówił to prywatnie, ale publicznie był w tej kwestii podejrzanie milczący. I on, i Krause zbierali w prasie mnóstwo cięgow. Mógłby się wypowiedzieć, żeby oczyścić atmosferę

wokół Jacksona i wyjaśnić jego status albo przynajmniej stanąć w obronie drużyny, ale gdyby to zrobił, mógłby doprowadzić do jeszcze większego pojedynku kogutów, co splamiłoby zarówno wizerunek Reinsdorfa, jak i Jacksona. „Mamy świetnego trenera – mówił Reinsdorf. – Po co miałbym wypowiadać się publicznie? Mogłoby to źle wpłynąć na jego reputację”.

Ale z powodu milczenia Reinsdorfa i Krause’a, kiedy zaczynały się próby wyjaśnienia tego, co robią i dlaczego to robią, opinia publiczna uważała, że obaj znajdują się pod ogromną presją. Przemawiały za nich wypowiedzi i ukryte motywacje z poprzednich lat.

Było jasne, że właściciel klubu i generalny menedżer kierowali się kwestiami praktycznymi. Bulls byli najdroższą drużyną w historii NBA, suma płac zawodników wynosiła ponad 60 milionów dolarów, ponad dwukrotnie przekraczając dozwolony limit. Bulls byli też wiekową drużyną. I Krause, i Reinsdorf przyznawali, że chcą przebudować zespół i przejść z epoki Jordana do kolejnej bez konieczności przeżywania straszliwych katuszy porażek, tak jak to było z Boston Celtics po zakończeniu kariery przez Larry’ego Birda w 1992 roku. Zdaniem niektórych komentatorów NBA Celtowie byli tak zajęci honorowaniem Birda i jego kolegów, Kevina McHale’a i Roberta Parish’a, że zarządowi klubu nie udało się opracować planu na przyszłość.

Krause i Reinsdorf twierdzili, że nie chcą popełnić podobnego błędu. Ale wyglądało na to, że zamiast tego popełniają błąd jeszcze większy, próbując wyrzucić za drzwi megagwiazdę drużyny, co mogło wywołać kryzys PR-owy, z którego obaj już by się nie podnieśli.

„Od trzech lat powtarzali, że nie chcą, aby na koniec drużyna posypała się tak jak Boston Celtics Larry’ego Birda – wspominał

członek sztabu szkoleniowego Bulls. – Ostatecznie miało się to obrócić przeciwko nim i ich prześladować. Bo nawet jeśli próbujesz pozbyć się tych gości, to nie możesz mówić tego głośno ani nawet tego sugerować. Przez cały czas trzeba trzymać głowę na kłódkę”.

Krause często przedstawiał Celtics jako przykład drużyny, którą chciał naśladować, bo klub ten potrafił w ciągu trzech dziesięcioleci zdobyć 16 tytułów mistrzowskich, po drodze kilka razy przebudowując zespół. Ale Pippen odpowiadał, że Krause zapomina o najważniejszej przyczynie sukcesów Celtics – prezydent klubu Red Auerbach zbudował tę drużynę na lojalności i wzajemnym szacunku, tak zwanej „dumie Celtów”. Koszulki największych graczy Celtics zawisły pod kopułą hali, ich numery zostały zastrzeżone, a wielu z nich dostało możliwość dokończenia kariery w Bostonie.

Pippen twierdził, że Bulls „nie znajdują się w sytuacji, w której można przyrównywać ich do największych klubów w historii, takich jak Lakers czy Celtics, bo te pozwoliły swoim największym zawodnikom dokończyć kariery w macierzystym klubie”.

Pippen mówił, że zawodnicy Celtics darzyli Auerbacha ogromnym szacunkiem, a nawet miłością. „A u nas nie znajdziecie nikogo, kto powie choćby jedno dobre słowo na temat Krause’a”.

Sam Krause wydawał niestety czasem niejasne i dwuznaczne oświadczenia, z których opinia publiczna mogła wywnioskować, że tak bardzo chce pokazać, że jest wybitnym generalnym menedżerem, że postanowił rozbić drużynę, która w ciągu siedmiu lat zdobyła pięć tytułów mistrzowskich, żeby móc rozpocząć budowę zespołu od nowa i udowodnić swój geniusz.

„Myślę, że Krause chce mieć kontrolę – mówił w prywatnym wywiadzie Pippen. – Chce zdobyć tytuł bez Michaela. Bez Phila. I beze mnie. Tylko po to, żeby mógł opowiadać, że jest święty w tym, co robi”.

Zawodnicy Bulls, członkowie sztabu szkoleniowego, PR-owcy i inni przedstawiciele klubu udzielający wywiadów nie potrafili zrozumieć tylko jednego: jak to możliwe, że Reinsdorf się na coś takiego godzi?

„Ego obydwu Jerrych jest na tyle duże, że myślą, że są w stanie tego dokonać wbrew wszelkim przeszkodom, wbrew opinii publicznej – snuł teorie jeden z pracowników Bulls. – Wydaje im się, że będą mogli zrobić to raz jeszcze (zdobyć kilka tytułów mistrzowskich) w ciągu kolejnych dziesięciu lat”.

Phil Jackson zauważył, że Reinsdorf to „gość, który nie robi złych interesów”. To z kolei sprawiło, że Jackson zaczął przypuszczać, że być może Reinsdorf chce sprzedać klub komuś, kto utrzyma niezmienny rdzeń drużyny – Jordana, Pippena i Jacksona. „Wielka korporacja – odpowiedział Jackson pytany o potencjalnych nabywców. – Korporacja wywodząca się z Chicago. To możliwe. Wiem, że są tu ludzie, którzy by sobie tego życzyli”.

Inny działacz przyznał, że w ciągu kilku najbliższych lat Reinsdorf być może rzeczywiście będzie chciał sprzedać klub, ale że nic takiego nie nastąpi w najbliższej przyszłości, bo „Bulls są ważną częścią życia Jerry’ego”.

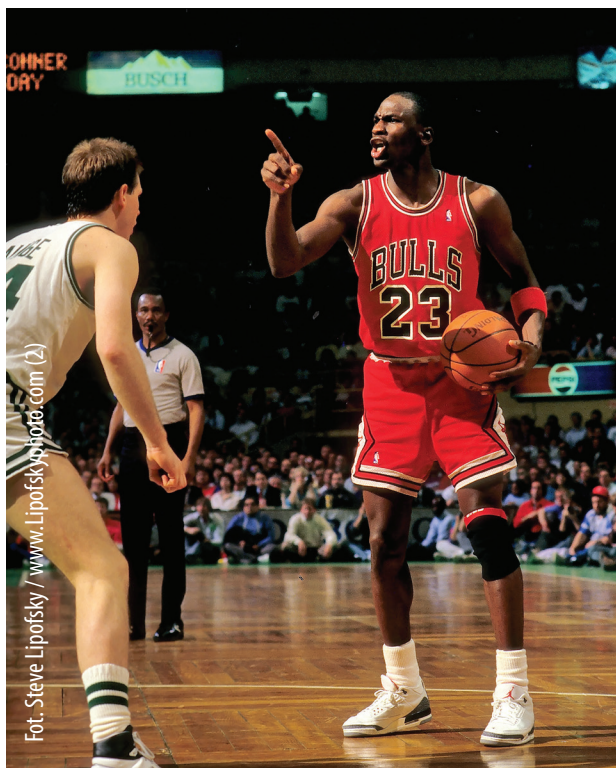
Kiedy zapytano o całą sytuację samego Reinsdorfa, ten podkreślił, że interesują go tylko kolejne tytuły mistrzowskie. „Chcemy zdobyć ich tyle, ile się da” – powiedział.

Niezależnie od tego, jak było naprawdę, akcji towarzyszyło całe mnóstwo intryg, a kibice w całej Ameryce czuli się tak,

jakby oglądali operę mydlaną. Przy okazji każdego meczu wyjazdowego dziennikarze otaczali Jordana i zadawali mu pytania o przyszłość drużyny. „To fascynujące – powiedział Steve Kerr podczas marcowej wyprawy do Nowego Jorku – jak przez to przechodzimy. Byłoby lepiej, gdyby było to trochę mniej ekscytujące, gdybyśmy po prostu trzymali się razem i robili swoje. Ale to fajne, że możemy być częścią tej historii, niezależnie od tego, jak się ona zakończy. To fascynujące móc grać w tej drużynie”.

W połowie lat 80. to Boston Celtics
byli uznawani za najlepszą
drużynę w historii NBA

Jordan nieustannie wywierał
presję na przeciwniku.
Uwielbiał rywalizację



Rok 1991. Feta po pierwszym wygranym mistrzostwie



Fot. Andrew D. Bernstein / NBAE / Getty Images (2)



Pierścień mistrzowski Jordana Jordana za tytuł z 1991 roku

Koniec fragmentu
Zapraszamy do księgarń



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

